XIII Kraków, 1. czerwca 1910. Nr. 11.



BOCIAN.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: KRAKÓW, Zacisze 7. Telefon Nr. 479.
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
Biuro G. Ungra, Warszawa Aleje Jerozolimskie 78.

— Panie lajtnant, ja prziszedłem proszycz o uwolnienie moji córke od wojska! Une jest takie wątłe i szczupłe....
— Nic się Mośku nie bój — jak wyjdzie z wojska, to tak nabierze ciała, że jej sam nie poznasz!

C. k. Sąd krajowy, jako prasowy, na wniosek c. k. Prokuratora Państwa, po myśli § 493 p. k. orzekł, że zamieszczony w Nrze 10-ym czasopisma „Bocian“ z dnia 15 maja 1910 artykuł pod tytułem: 1) „Z chem(i“ (strona 3-cia łam 3-ci) oraz 2) „Ciəkawy“ (strona 5-ta, łam 2-gi) zawiera znamiona występku z §. 516 v. k., że zakazuje się rozszerzania tych artykułów, zatwierdza się zarządzoną przez c. k. Prokuratoryę Państwa konfiskatę pomienionego numeru, a cały nakład takowego ma być zniszczonym.

Równocześnie na wniosek c. k. Prokuratoryi Państwa, stosownie do przepisu § 20 ust. pras. poleca się redakcyi czasopisma „Bocian“, aby uchwałę tę w najbliższym numerze czasopisma na pierwszej stronie tegoż pod rygorem skutków z 21 ust. prasowej bezpłatnie zamieściła.

C. k. Sąd krajowy, jako prasowy S. III.

Kraków dnia 14 maja 1910

Pogorzelski.

NIE WSZYSTKO IMITACYA, CO SIĘ ŚWIECI...

— Więc ją kochasz, więc się żenisz?
Oj! człowieku, oj! człowieku!
Jak to można bez namysłu
Płatać głupstwa w twoim wieku!

— Hm! cóż ona — rzecze pierwszy
Ma wspólnego z moim wiekiem?
— To, żeś głupi! — odparł drugi,
Ona zaś jest fałszów stekiem!

Czyś się dobrze jej przypatrzył?
Nie uderza cię obłuda?...
Może myślisz, że jest tłusta?
Otóż właśnie, że jest chuda!

Może myślisz, że blondynka?
O! naiwny, kto tak mniema!...
Ani czarna, blond, ni ruda,
Ona wcale włosów nie ma!

Watowana, malowana
Czy się nie znasz na szacherce?
Wszystko obce lub fałszywe:
Włosy, łydki, biust i serce!

— O, nie! — rzecze pierwszy z dumą
Ja w obronie prawdy stoję!
Ma dwie rzeczy swoje własne:
Mianowicie — dzieci dwoje!

Niefortunny dativus.

„Cicho! cicho! ktoś tam stoi!
Serce mówi, że to on!“
Stara piosenka.

Mało już dziś jest izraelitek źle mówiących po polsku — i to się im chwali. Za moich czasów przed laty czterdziestu, zdarzyło mi się jednak słyszeć pannę Salczę śpiewającą z uczuciem znaną tę piosenkę:

„Czycho! czycho: ktosz tam stoi!
Serce mówi, że to jemu!“..:

Przy sposobności.

Pan bankier Rojsenglanz wyszedł z żoną i córką na przechadzkę. Nagle panienka woła:

— Tatku! co to za ptak, co chodzi po łące?

— To boczan, moja Salczu!

— A! wiem! to ten, co to dzieci przynosi — odrzekła i pobiegła zbierać kwiatki nad strumykiem.

— Słuchajno stary — zauważa pani bankierowa — nasza Salcza kończy za miesząc oszymnaszcze lat... Czas już objasznicz ji, że to nie boczan stara sze o dżeczy, bo dżysz albo jutro zgłoszy sze ktosz o jej rękę...

— Nu, to ty jej to powidz, tysz matka — odpowiada bankier.

Za chwilę wracają gościńcem do domu. Pani Rojsenglanzowa chrząknęła parę razy, wzięła Salcię cokolwiek naprzód i rzecze do niej:

— Słuchajno Salka! Co do tego boczana, to to nieprawda, że on przynoszy ludziom małe dżeczy... To sze tak mówi młodym dżewczętom. W rzeczywistoszczy zasz, gdy panienka wyjdże za mąż, to sze jej dżecko urodzi i bez boczana...

— Taak? A jakimże sposobem ona przyjdzie do tego? — pyta panienka ciekawie.

Pani Rebeka milczy chwilę, niepewna co teraz powiedzieć — wreszcie zwraca się do męża i mówi:

— Izaak! To już jej ty wyjasznij... bo twoja rzecz!...

Zasady panny Dolci.

Bardzo lubię wojskowych, ale bynajmniej nie ze względu na ich mundury — przeciwnie dbam o to, ażeby u mnie w mieszkaniu mundury wisiały zawsze na wieszadle.

W Sądzie.

Sędzia (do oskarżonego): Jesteście oskarżeni, że wałęsacie się po mieście, bez żadnej uczciwej roboty.

Oskarżony: Niby jak to, bez roboty? A któż to zrobił, że moja stara poszła wczoraj do pana hofrata za mamkę?...

Między małżonkami.

Ona: Więc nie możesz mi towarzyszyć na koncert?

On: W żaden sposób, okropnie mnie głowa boli!..

Ona: To każ sobie zrobić kompres — czy mam zawołać Hanusi?

On: Nie potrzeba! Jak ty wyjdziesz, to ona sama do mnie przyjdzie...





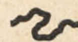
SŁUSZNA GROŹBA.

— Ty rujnujesz mnie kobieto! —
Rzekł mąż stary kręcąc głową
Ciągle jakieś interesa
Masz z modystką i krawcową!

„Znów rachunek odebrałem
Za twą suknię... Frajda świeża!...
Ale wiedz marnotrawnico,
Że nie płacę ni halerza!

„Ja — na twoje fatałaszki
Mam pracować w pocie czoła?!...
Rób, jak chcesz — ja w to nie wchodzę
Możesz nawet chodzić goła! —“

— Tak?! — wybuchła z płaczem żona —
Więc przysięgam, jak Bóg w niebie!!!
Będę chodzić całkiem goła,
Lecz — pamiętaj! — nie dla ciebie!... —



W półświatku.

— Czy tobie Stefa nie żal tego biednego barona, że tak powoli rozebrałaś go do koszuli?

— A to dlaczego? Ja tylko oddałam mu piękne za nadobne...

Zawsze ten sam.

(Autentyczne.)

Redaktor *** siedzi przy biurku, gdy wtem wbiega do pokoju służąca.

— Panie redaktorze! Bocian przyniósł panu redaktorowi śliczną córeczkę!...

— Dobrze, dobrze! — odpowiada w rostargnieniu redaktor — możesz ją odrazu wrzucić do kosza!...

Pomiędzy małżonkami.

Żona: Nędzniku! Ty nigdy nie byłeś mi wierny, a ja tobie bardzo często!...

Niezatarty stygmat.

Humoreska.

I.

Uczony doktór Nepomucyn Retorta, znakomity badacz przyrody i jej tajników — poświęcił się oryginalnej specyalności: wyszukiwaniu trwałych i niezniszczalnych farb. Usiłowanie jego uwieńczył nadspodziewany skutek. Drogą chemicznych kombinacyi uzyskał zieloną barwę, której w żaden znany sposób usunąć ani wywabić nie byłby nikt w stanie. Ale los wielkich wynalazców bywa nieraz opłakany! Bracia Mongolfieri omal, że nie skręcili karku ze swego balonu, dr. Guilot zginął sam na strasznej machinie swego wynalazku, a tak samo i drowi Nepomucynowi Retorcie zamienił się przez niego wykryty zielony niezniszczalny kolor — na wieczny, czarny kir życia.

Pewnej nocy, gdy wielki uczony farbiarz zajęty był w swojem laboratoryum ostatecznem udoskonalaniem owej zieleniny — posłyszał nagle w swej małżeńskiej sypialni — podejrzany jakiś szelest. Szelest ów powtarzał się kilkakrotnie. Znakomity chemik zamyślił się, poczem zbladł i zawołał:

— Albo się bardzo grubo mylę, albo to są odgłosy pocałunków!

Zona jego myślała zapewne, że wyszedł... Acha!... Domyślił się reszty. Przywoławszy na pomoc całą moc ducha i zimną krew, położył tygielek z zieloną farbą na ziemi, wziął do ręki potężny kij i wszedł do sypialni.

II.

— Nędznico!!...

Tak zawołał uczony doktór Nepomucyn piorunującym głosem, że aż szyby zadrżały, a piękna jego żona w bardzo swobodnym negliżu przypadła do nóg jego i krzyknęła:

— Łaski!!...

Tymczasem przez drugie drzwi umykał jak spłoszony jeleń jakiś człowiek, o którym wszystko raczej można było powiedzieć, tylko nie — że był ubrany. Nieznane to indywiduum wpadło do pracowni, potknęło się na tyglu z historyczną zieloną farbą, w jednej chwili jednak podniosło się z ziemi i uciekło przez otwarte okno pracowni. Ścigający go z kijem w ręku zdradzony małżonek, nie mógł nic więcej dostrzedz u niego — jak odwrotną stronę medalu, umazaną zieloną farbą, której — jak nam wiadomo — nic nie było w stanie usunąć ni zetrzeć.

Nasz uczony był wielkodusznym człowiekiem. Ograniczył się więc tylko na wytknięciu swej małżonce całej niewłaściwości jej postępku, a gdy pani Nepomucynowa nie chciała nawet wyjawić nazwiska swego amanta — zrezygnował doktór nawet i z tej pociechy i rzekł tylko:

— A więc dobrze!... Przysięgam jednak pani, że go znajdę! Niegodziwiec ten ma z tyłu, całkiem nizko, znak od mej zielonej farby, która — jak pani zapewne wiadomo, a czem ja się szczycę, pozostawia niezatarte, niezniszczalne ślady!... Przysięgam! — powtórzył silnym głosem — że go znajdę, choćbym miał wszystkim męskim osobnikom w mieście podzierać portu... galie!...

Na tę myśl zaczęła się śmiać płocha niewiasta. Ten śmiech dał wiele do myślenia uczonemu. Dr. Nepomucyn zdawał sobie dobrze sprawę z trudności swego przedsięwzięcia, trudniejszego może, niż samo wynalezienie intenzywnej zielonej farby. No, bo na każdy sposób jest to dość drażliwa historya prosić kogoś, kogo się jeszcze dobrze nie zna, by był na tyle uprzejmym i zechciał — zdjąć spodnie.... Użycie przemocy jest w tym wypadku zupełnie wykluczone. W tym celu krył się i śledził przez dziury i szpary wszystkie te miejsca, gdzie ludzie częściowo bodaj się rozbierają. W lecie błąkał się nad rzekami obserwując pilnie kąpiących się. W tym celu specyalnie nauczył się masowania i przyjął odpowiednie miejsce w łaźni parowej.

Daremnie! Zielonej plamy na wiadomej nam części ciała nie zauważył u nikogo!...

Pan doktór schudł, zmizerniał, ale szlachetnych poszukiwań nie zaprzestał! Uczynił jeszcze jedną rozpaczliwą próbę. Wstąpił do wojska w charakterze lekarza pułkowego. Przy każdorazowym poborze rekrutów, wytężał oczy uzbrojone w podwójne szkła, upatrując u asenterowanych zielonej plamy. I to na nic się nie przydało. Doktór w zwątpieniu swojem przypuszczał już, że naznaczony zielonym stygmatem zbrodniarz, musiał bezpośrednio po spełnieniu haniebnego czynu — umknąć za granicę.

III.

Doktór Nepomucyn stracił już zupełnie nadzieję, mimo tego nie przestawał śledzić i podglądać nagości swych bliźnich męskiego rodzaju, co ściągnęło

Autentyczne świadectwo służbowe.

Apolonija Otyłkoska z Mokryj, słurzyła mi wiernie, chodź odchodzi zdrowa. Pięknoś, pilności nadzwyczajny — Moralności anormalny. Zdolna do wszystkiego! Obyczaju chwalebnygo, chentna na zawołanie — odchodzi na żądanie bez dalszego gadania — warta spróbowania.

Józef.........
w......

Jak łgać...

Pan X. znany i sławny blagier, wraca po kilkoletniej nieobecności do Krakowa i udaje, że zwiedzał różne egzotyczne kraje a nawet był w Polinezyi. Opowiada też raz w pewnem towarzystwie swoje przygody i między innemi wspomina, że raz wpadł w ręce ludożerców.

— Ach! — woła z przerażeniem jedna z obecnych pań — naprawdę?!... Pan wpadłeś w ręce ludożerców?!...

— Tak pani! — śmiało potwierdza pan X. a co więcej miałem być zabity i pożarty podczas uczty weselnej kacyka tego plemienia!...

— No, i jakże zdołałeś się pan wyrwać z rąk swoich prześladowców?!...

— O! — odpowiada z powagą pan X. — miałem doprawdy szalone szczęście! Przed samym ślubem narzeczona zerwała z kacykiem!...

ŻYCIE ARTYSTKI.

— Życie w tinglu jest wesołe,
Ach! niejeden wam zazdrości!
Rzekł do młodej szansonistki
Jeden z kawiarnianych gości.

— Hm! tak! — rzecze mu tinglówka
Jakoś daję sobie radę!
Trzy godziny wieczór tańczę,
Potem się do łóżka kładę!

— Tak? do łóżka? — gość powtórzył
To istotnie w tinglu bieda!
Bo to znaczy, że się spocząć
Absolutnie nigdy nie da!... —



Z monologów panny Frani.

...Doprawdy, niema nic głupszego, jak dać sobie rendez-vous w takiem odludnem miejscu! Niech teraz naprzykład nie przyjdzie, to już całe popołudnie mam stracone na darmo!...

Wedle mody.

— Jakże tam stoi sprawa rozwodowa państwa Poetnickich?

— Załatwiona prawie zupełnie. Co do dzieci już się porozumieli, nie mogą się jednak zgodzić, które z nich ma tę sprawę przerobić na dramat obyczajowy.

Tego się nie spodziewała.

— No i jakże? Cóż ci powiedział pan Karol, z którym prawie cały wieczór tańczyłaś? Czy wyjawił ci swe zamiary?

— Tak mamusiu! Powiedział mi, że absolutnie nie ożeni się nigdy!

Zazdrosna.

— Słyszałam, że pani sprzedała swój gramofon!

— A tak moja pani! Mój mąż codziennie przysłuchiwał się aryi, którą śpiewała Brzozowska, a wczoraj złapałam go jak w czasie gry całował lejek gramofonu! Na takie zgorszenie nie mogłam przecież pozwolić!

JAKIE POWOŁANIE?

— Co jest z panną Piorunkiewicz,
Operetki naszej chlubą? —
Spytał gogo znajomego
— Wiesz, z tą czarną, taką grubą?

— Oj! niedobrze! — odparł drugi
Twoja piękność śpiewająca
Jest, niestety! — na dymisyi
I to przeszło od miesiąca!

— Cóż w tem złego? — pyta gogo
Ze zdziwieniem w swem pytaniu —
To się teraz oddać może
Całkiem swemu powołaniu!...



Autentyczne sprostowanie.

Mój Panie!

Dowiaduję się właśnie, że pan się przechwala, iż byłam pańską kochanką. Co więcej! Utrzymujesz pan, że nasz *stosunek* trwał przez przeciąg kilku miesięcy.

Nie oburzałabym się, gdyby nie to, że cały świat wierzy w te bajki. Przestrzegam pana zatem i proszę, abyś przestał rozszerzać takie potworne plotki, jeśli chcesz uniknąć skandalu.

Z winnym szacunkiem
Adela Iksicka,
artystka dramatyczna.

P. S.

Jeśli pan możesz zaręczyć słowem honoru, że byłam twoją kochanką, to dajmy spokój tej całej awanturze. Faktycznie jednak nie mogę sobie tego przypomnieć i byłabym bardzo wdzięczną, gdyby pan mnie odwiedził i przypomniał, kiedy i jak to wszystko właściwie się odbywało?...

Objaśniła.

— Plosę mamusi, a dlaczego ten konduktol ma uwiązaną tę tlombkę na śnulku psy guziku?

— Dlaczego? A... a bo widzisz moje dziecko, to dlatego, żeby jej nie połknął...

---

nawet na niego nieuzasadnione, a w wysokim stopniu jego płci uwłaczające podejrzenia.

Pewnego razu siedział sobie samotnie nad brzegiem rzeki i rozmyślał: „Czy przyjdzie tu kto kąpać się, czy nie?“... Marzenia jego spełniły się!... Przyszło dwóch żołnierzy. Niewinne te istoty, nie przeczuwając nic złego, rozebrały się aż — do adamowego stroju i podczas, gdy jeden z nich położył się w trawie, paląc fajeczkę, drugi usiadł na brzegu na małej ławeczce. Po chwili podniósł się żołnierz z ławeczki i stanął, tak, że tyłem zwrócony był do doktora.

— Wszystkie nieba i piekła!!! Żołnierz miał na odwrotnej stronie medalu wspaniałą, zieloną plamę!!... Doktór Nepomucyn nie namyślał się długo. Przypadł do nieszczęśliwego golca i ciężką laską, którą już z opisu znamy, wymierzył mu potężny cios w samo centrum — ową złowróżbną zieloną plamę. Skutki uderzenia były opłakane. Doktór przetrącił żołnierzowi krzyże. Kolega jego rzucił się na zbrodniarza i ubezwładnił go.

— Człowiek ten miał z tyłu zieloną plamę! — rzekł na usprawiedliwienie swego czynu.

— Tak jest! — odparł wieśniak, mający chatę nad brzegiem — miał zieloną plamę, gdyż usiadł na ławeczce, którą dzisiaj zrana na zielono pomalowałem!

Straszna pomyłka!... Doktór zapewne zabił niewinnego!... No, zabić nie zabił, ale uczynił go raz na zawsze niezdolnym do służby wojskowej i małżeńskiej.

Uczony nasz bronił się przed przysięgłymi w bardzo niedołężny sposób. Gdy za motyw swej zbrodni podał okoliczność, że żołnierz o przetrąconym krzyżu miał z tyłu zieloną plamę — sądził trybunał i przysięgli, że zbrodniarz kpi sobie z nich!... Przyjęto jedną jedyną okoliczność łagodzącą, że żołnierz wbrew regulaminowi wojskowemu — kąpał się bez spodni do pływania. To uratowało życie mordercy. Skazany został natomiast na dożywotnie więzienie...

IV.

Doktór Nepomucyn odsiadujący od roku karę więzienia, sprawował się tak przykładnie, że zarząd więzień pozwolił mu, by w tej samej celi siedział z nim i drugi *socius doloris*, stary, wysłużony marynarz, który już zwiedził wszystkie pięć części świata. Nie było to bardzo stosowne towarzystwo dla uczonego, lepsze jednak stokroć niż samotność. Towarzysz Nepomucyna był, w przeciwieństwie do niego, nadzwyczaj rozmownym. Niepytany nawet, wtajemniczał go we wszystkie przygody i awantury jakie przeszedł w życiu.

— I po czem pana poznano ostatecznie, gdyż jak powiadasz, umiałeś się wybornie charakteryzować, zmieniałeś ustawicznie strój, a nawet narodowość i wyznanie, i mogłeś długo jeszcze bezkarnie płatać karygodne swoje figle ludziom — zapytał go pewnego razu doktór Nepomucyn.

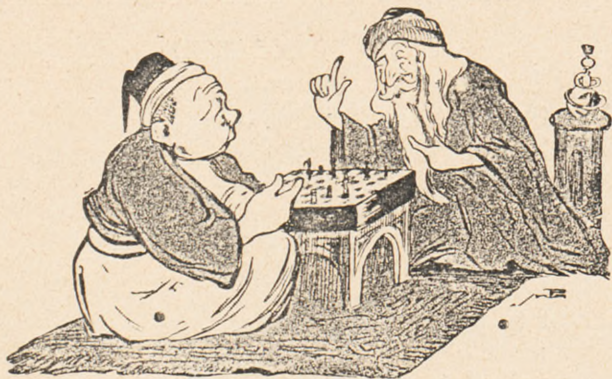
— O! to jest komiczna historya! Od czasu pewnej awantury miłosnej, mam tu, z tyłu pod spodniami zieloną plamę, której absolutnie żadnym środkiem usunąć nie można — odpowiedział obojętnie zapytany.

I przy tych słowach uwolnił się ze swego ubrania i pokazał skamieniałemu ze zgrozy doktorowi wielką zieloną plamę poniżej krzyżów.

Nieszczęsny stygmat!.. Stygmat stwierdzający niezbicie, że posiadacz jego jest złodziejem honoru, spokoju i wolności biednego doktora, stygmat przypominający mu, że niesłusznie złamał krzyże gołemu żołnierzowi, pozbawiając kraj jednego więcej obrońcy i jednego więcej ojca.

— Co za ironia losu!? — myślał dr. Nepomucyn z goryczą — uganiać się po całym świecie za łajdakiem z zieloną plamą w niewymownem miejscu, po to, by obciążywszy sumienie życiem niewinnego człowieka, znaleźć się z nim po latach razem, w tej samej celi, jak zbrodniarz ze zbrodniarzem!...





W noc Halleya.

Nadszedł nareszcie ów dzień krytyczny, raczej owa noc, którą zapowiedzieli astronomowie, jako ostatnią naszej egzystencyi. Z mężnem sercem zabrałem się do uporządkowania spraw doczesnych i postanowiłem uważać, aby przecież ów paskudny ogon nie zastał mnie nieprzygotowanym. Ponieważ, jak Flammarcon oświadczył, w ogonie komety jest pewien procent kwasu pruskiego, z którego już Hofrichter wyrabiał rozweselające pigułki, postanowiłem nałapać do flaszek komeciego powietrza, a potem wytruć niem mych serdecznych przyjaciół, do których zaliczam teściową i mych wierzycieli. W tym celu zaopatrzyłem się w kilka flaszek, naturalnie nie próżnych i kupionych na kredyt, ktoby tam bowiem płacił przed samym końcem świata i wybrałem się na Błonia miejskie, gdzie zastałem już wielu Krakowian pojedyńczo, a przeważnie parami oczekujących na przybycie Halleya. Zamiast lunety wziąłem ze sobą kominek od samowara, zabrałem też parasol, aby mnie ochronił od zapowiedzianego deszczu gwiaździstego. Kaloszy i wogóle żadnych innych gumowych przyborów nie potrzebowałem, no i żonę zostawiłem także w domu.

Godzina dziesiąta wieczór, ruch na Błoniach coraz bardziej ożywiony. Choć cisza w przyrodzie, szmer, jakby gałęzi poruszanych wiatrem dochodzi od strony parku Jordana i lasku świerkowego nad Rudawą. Miło szemrzą fale wonnej rzeczółki, nad której brzegiem ulokowałem się i urządziłem prymitywne obserwatoryum pod rozłożonym na wszelki wypadek parasolem.

— Fe! Ta daj pan spokój! — usłyszałem obok siebie w niewielkiej odległości jakiś głosik sopranowy...

— Idź głupia! Za kilka godzin będzie już po wszystkiemu! — odparł na to jakiś *basso profondo*.

Nie zważając na nic rozpocząłem przygotowania, trzeba bowiem mieć próżne flaszki, jeśli chce się nałapać powietrza. Na pierwszy ogień poszła flaszka regulatora, potem jedna i druga butelka zieleniaka.

— Oj! wiedział pan Bóg, poco stworzył propinacyę! — pomyślałem sobie w duchu, a choć chłód wieczorny dawał mi się we znaki, jakieś przyjemne ciepło poczęło rozchodzić się po ciele i rozgrzewać skostniałe członki.

Wypróżniłem właśnie trzecią flachę zieleniaka, powieki poczęły mi czegoś ciężyć, a Halleya, jak nie widać tak nie widać! Czyżby może przytrzymała go policya i odstawiła jako włóczęgę do aresztów miejskich, gdzie zmarł na tyfus plamisty — myślałem, gdy wtem z wieży Maryackiej rozległ się głos zegaru, wydzwaniającego północ, a na ścieżce, wiodącej od miasta ukazała się jakaś postać...

— Halley?! Czy nie Halley?! — zaprzątało moją mózgownicę pytanie. — Ej chyba nie! On przecież mężczyzna, a ta zbliżająca się postać ubrana jest w jakąś długą opończę... A może to który z mych wierzycieli, któremu i Halley coś winien, więc postanowił skorzystać z jego zbliżenia się do ziemi i urządzić mu kieszonkową rewizyę?...

Nie!... Była to najwymowniej postać niewieścia, o wcale korpulentnych kształtach, akurat w moim guście... Twarzy nie widziałem, któżby zresztą w nocy na nią patrzył i tak nic się nie zobaczy, zwłaszcza, że księżyc, jakby umyślnie, schował się za chmurę.

Chrząknąłem dyskretnie, gdy postać owa zrównała się ze mną... Zatrzymała się i przeczułem, że skierowała wzrok w mą stronę. Podniosłem się powoli ze ziemi, zbliżyłem się ku niej chwiejnym krokiem (skutki zieleniaka lub zabójczych gazów znajdujących się w ogonie zbliżającej się komety) i objąłem ją wpół...

Nie było wątpliwości, była to kobieta...

— Daj mi pan spokój! — szepnęła dyskretnie, czułem jednak, że drżała w mem objęciu.

— Ależ kotku! — odezwałem się również przytłumionym głosem. — Nie obawiaj się wcale, nie zrobię ci krzywdy! Wszak przyjemniej będzie nam oczekiwać wspólnie końca świata, nie wątpię bowiem, że w tym celu tu przyszłaś! Mam zresztą jeszcze trzy pełne flaszki zieleniaka, to czas nam przejdzie, jak z bicza strzelił. A zieleniaczek, powiadam ci palce lizać, od Gralewskiego i do tego na kredyt!...

Pociągnąłem ją ku sobie, nie broniła się więcej, po chwili usadowiłem ją obok siebie pod parasolem i wręczyłem jej jedną z flaszek, podczas gdy sam uchwyciłem za drugą.

— No, serwus! Niech żyje Halley, który dał nam sposobność wzajemnego poznania się! — zawołałem, trącając się flaszkami.

— Na zdrowie! — odparła cicho i westchnęła gorąco...

Rozmarzony, przycisnąłem ją czulej do mego łona, aż trzasły... dwa cygara Wirginia. Towarzyszka moja stękła głośniej, a wtem z poza chmur wychylił księżyc swe złośliwie uśmiechnięte oblicze i rzucił na nas pęk swych srebrzystych promieni.

— Przebóg! — zawołałem ze zgrozą i zerwałem się na równe nogi, poznałem bowiem w mej towarzyszce, nikogo innego, jeno moją własną, rodzoną teściowę, ozdobę znaną z iście purytańskich zasad.

— Zbrodniarzu! Wiarołomco! — syknęła ona niczem żmija. — O! biedna moja córko! W jakiego złoczyńcy ręce oddał cię los zawistny!...

. . . .

Pozostawiłem ją na miejscu wraz z niedokończonym zieleniakiem, a sam, wyrzekłem się obserwacyi i galopem pędziłem do miasta.

— No! I ktoby to pomyślał! A taka się wydawała cnotliwa!... Ten Flammarion łajdak miał jednak racyę, twierdząc, że kometa zwiastuje zawsze jakieś nieszczęście!

. . . .

Od tego czasu przysiągłem sobie nie pić zieleniaka i nie chodzić oglądać komety, choćby miała i siedm ogonów!...



KONKURY.

— Wiesz co Tifi? rzekła Mimi,
Ojciec twój to niezawodnie,
Musiał się do kasy włamać,
Albo spełnił inną zbrodnię!

Bo się wyelegantował,
Spodnie ma ci w drobną kratkę,
Kwiatek w klapie marynarki,
Wdział kołnierzyk i krawatkę!

— Tak! — odrzekła Tifi z dumą
Niechby ukradł — dajmy na to!
Lecz się stroi! A wiesz czemu?
Bo ma żenić się mój tato!

— Co twój ojciec?! — woła Mimi,
Czy zwaryował? o! dla Boga!
No i z kim-że on się żeni?
Gadaj zaraz moja droga!

— Z kim? — z urazą mówi Tifi —
Wszak to się rozumie samo,
Że się żeni — ach! ty głupia!!
Żeni się — no z moją mamą!



Poczucie własnej godności.

Ojciec (do córki): Co? Ty chcesz wyjść na mąż za tego łotra Karola? To przecież znany zbrodniarz, włamywacz, rzezimieszek! Tak... tak... rób sobie zresztą, co chcesz, ale ci powiadam, że dopóki nie odsiedzi tych sześciu miesięcy kozy, na którą jest skazany, zabraniam mu absolutnie wstępu do mego domu!...

Spotkał swój swego.

— Tak, panie Aron! Gdybym był pewnym, że zegarek ten nabyłeś uczciwą drogą, dałbym ci nawet i sto koron za niego, ponieważ jednak w to wątpię, mógłbym ci ofiarować zań najwyżej dwadzieścia...

Aron (po krótkim namyśle): Nu! Dawaj pan dwadzieszcza koronuf!

ZE SFER NAJWYŻSZYCH.

Książę z księżną mieli szprzeczkę —
Obie strony stały mężnie:
Księżna księciu wymyślała,
Książę zaś wymyślał księżnie.

Aż wysoka pani krzyknie:
— „Co chcesz gadaj! to daremnie!
Ja powtarzam zawsze jedno,
Że nie zrobisz nic bezemnie!...

— Tak? ciekawym! — woła na to
Książę jaśnie oświecony
I — o zgrozo! — na znak wzgardy
Tyłem zwrócił się do żony.

Na to księżna odpowiada:
„Wszak to łatwe do pojęcia,
Ty bezemnie, mój kochany
Mieć nie możesz nigdy księcia!..

Ja — co do mnie, gdybym była
W ostatecznej już potrzebie,
To chcąc mieć małego księcia
Mogę obejść się bez ciebie!



Po ślubie.

Młoda pani Alina tonie na drugi dzień po ślubie we łzach. Naturalnie matka, zastawszy ją tak płaczącą w dzień po ślubie zaledwie, usiłuje wydobyć od niej powód płaczu, gdy jej się to wreszcie przecie udało, pociesza ją, jak może:

— Ależ Alińciu! masz też czego płakać!... Pomyśl tylko, że nieraz sama mówiłaś, że lubisz dzieci, że chciałabyś...

— Tak... taak — przerywa matce pani Alina, zanosząc się od płaczu, a... ale niee sze... sześć od ra... razu!...

W łazienkach.

— Godzinę już czekam, a pan zamiast mnie zrobić kąpiel, dajesz wannę jakiejś damie, co przyszła później odemnie! Czy pan myśli, że mąż może na mnie czekać tyle czasu?!...

Kąpielowy: A czy pani myśli, że na tamtą panią sam tylko mąż czeka?...

Oj, ci głusi.

Pan X. staruszek mocno głuchy, spotyka znajomą sobie panienkę, przechadzającą się po plantach wraz z matką. Wita się więc z paniami nader serdecznie, kontent że mu się nadarzyła gratka porozmawiania z kimś, zaczyna panie zasypywać pytaniami:

— I cóż proszę pani? — pyta zwracając się do panny — była pani na wzlocie Hieronymusa?

— Niestety — odpowiada panienka — nie byłam, bo miałam taki ból głowy, że musiałam się położyć do łóżka!

— Co? co? — dopytuje się starowina nadstawiając ucha.

— Nie byłam — powtarza głośniej panna — bo leżałam w łóżku!...

— Tak, tak! spodziewałem się — uśmiecha się przyjaźnie starowina, który pomimo głośniejszego powiedzenia, nie dosłyszał, co mu panna mówiła, n a r z e c z o n y b y ł t a m z p a n i ą r a z e m?

A t o ś c i e p a ń s t w o m u s i e l i t e n c z a s b a r d z o p r z y j e m n i e s p ę d z i ć! T o s ą w k a ż d y m r a z i e t e n a j p r z y j e m n i e j s z e c h w i l e...





PRZYGODA KRÓLA DAGOBERTA XVIII.

Król Dagobert ośmnasty,
Król Łajdacyi, pan nad pany,
Był dla swej popularności,
Od poddanych ubóstwiany.

Już — gdy raczył się urodzić,
Do przyszłego rządów trudu,
Ściskał całkiem poufale
Pierś swej mamki — baby z ludu.

A gdy z czasem na młodzieńca
Wyrósł z lubej tej dzieciny,
Sciskał z równą łaskawością
Pokojówki i frajliny.

Kiedy wreszcie się ożenił,
Z chudą księżną, zezowatą,
Wziął żydówkę za kochankę,
Choć się nuncyusz krzywił na to.

Podróżował król w Łajdacyi,
Aby zwiedzić te obszary,
Gdzie stolicą jest Lumpenburg
Historyczny gród prastary.

Z dział walono, bito w dzwony,
Przyjmowano króla godnie,
A przy mowie powitalnej
Na burmistrzu drżały spodnie.

Wieczór miał król „cercle“ z damami,
Aż nareszcie po kolacyi
Król spać poszedł, nie czekając
Nawet już illuminacyi.

Lecz noc całą ruch był w mieście,
I nie ustał, aż gdzieś rano,
Okna zaś nieoświetlone,
Kamieniami wybijano.

Nagle krzyknął jeden z ludu,
„W imię króla! hurra dzieci!
Dalej w szyby kamieniami!
W jednem oknie się nie świeci!

Tłum do domu potem wpada,
(Straszny tłum, gdy się rozhula!)
Krzycząc: „Za łeb wywlec zdrajcę,
Który nie chce uczcić króla!...

Już szturmują drzwi mieszkania,
Z frontu, z tyłu — w strony obie —
W tem wyłazi drżący, blady,
Kto? Król w własnej swej osobie!!

Król w zupełnym był negliżu,
Tylko płaszczem się otula
I wyszeptał: „Rewolucya?“
Chcecie głowy swego króla?!

Ja sam zgasił świecę w oknie,
Zdjąłem ciężar tej korony!
— Żyj nam królu! Żyj i panuj!..
Lud zawołał ucieszony!

I król dobry nagość ciała,
W fałdach płaszcza swego chowa,
A tymczasem na kanapie,
Drży ze strachu — burmistrzowa!



Małżeńskie wymówki.

— Moja droga! To musi już raz ustać! Musisz sobie dać spokój z tymi oficerami...

— Ciekawa jestem, co ci to może szkodzić, że lubię widzieć koło siebie ładnego chłopca w pięknym uniformie!

— Gdyby o to tylko chodziło, nie mówiłbym nic, ale niestety, widzę, że oni tobie jeszcze bardziej się podobają... rozebrani!

Nie poszla.

— Ażebyś wiedział, że ani godziny dłużej żyć z tobą nie chcę!

— Ależ Halinko... przecież możesz mi ten jedyny raz wybaczyć!...

— Nie!... nie! Nie zasługujesz na to! Idę w tej chwili i nie wrócę więcej.

— Halinko!

— Nie!... Idę i ręczę ci, że mnie nie znajdziesz!

— Ba, to ja sobie poradzę!

Siada do biurka i pisze:

Inserat do dzienników: Dnia 18 maja br. wydaliła się z domu moja żona. Ma lat 45 jedno ramię nieznacznie wyższe, włosy częścią przyprawiane a resztki własnych farbowane, zęby u góry wprawiane, dużą brodawkę na nosie i dwie małe na brodzie. Ubrana była w wypłowiałą, niemodną pelerynę, w kapelusz bez gustu, który nosi pretensyonalnie na bakier. Buciki od miesiąca nie czyszczone z powykrzywionemi obcasami i pończochy czarne z dziurami na piętach. Spodnica dawniej była biała, obecnie brudna, nieokreślonego koloru“...

Łzy spływały mu z ócz. Ona ciekawa, zaglądnęła mu przez ramię, czytając i... nagle pac... jeden policzek!... pac w drugi policzek — aż mu pióro z ręki wyleciało!...

Porwała zapisaną ćwiartkę papieru, a targając ją w drobne strzępy, zawołała z pasyą:

— Nie! ty pójdziesz... a ja zostanę! Tak! na złość zostanę.

On chwycił się jedną ręką za policzek, drugą porwał kapelusz — rzucił bolesne spojrzenie na ten swój dom, tak mu drogi, w drzwiach odwrócił się jeszcze raz, zamknął cicho drzwi za sobą i poszedł do handelku na piwo.

I tak źle i tak nie dobrze.

Pokojówka: Proszę panienki, pan hrabia przyszedł i chciałby się z panienką zobaczyć...

Panna Stefcia: Ależ ja nie mam najmniejszej ochoty widzieć się dzisiaj z tym starym nudziarzem! Powiedz mu, niech sobie idzie, bo mnie nie ma teraz w domu!...

Pokojówka: To nic nie pomoże, proszę panienki! Jak ja mu tak powiem, to z pewnością zechce znów zostać u mnie!...

Zły sen.

Pani Zofia, budząc się rano, mówi do swego męża:

— Ach Dolku! żebyś ty wiedział, jaki miałam przykry sen tej nocy!...

— Co ty mówisz? I cóż ci się śniło tak strasznego?

— Wiesz, śniło mi się, że jeszcze jestem panną! Doprawdy, powinnam była cię wtedy zbudzić!...

— Zbudzić mnie? A to po co?...

— Żebyś mnie przekonał, że to nie prawda...

Dobra córka.

Mały Adaś, uczeń I klasy normalnej, nie był wczoraj w klasie.

Pan nauczyciel, zaprzyjaźniony z rodzicami Adasia, pyta go po zjawieniu się na lekcyi, czy był chory, że nie był wczoraj w szkole.

— Nie byłem chory — odpowiada Adaś — ale do nas przyszedł bocian i przyniósł mi małą siostrzyczkę...

— Tak? A, to ładnie!... No, to pozdrów tam mamusię.. tylko bądź w domu grzeczny, bo widzisz mama leży w łóżku...

— Nie, proszę pana psora! Mama nie miała czasu położyć się, więc położyła się do łóżka moja najstarsza siostra, która w zeszłym roku zaczęła chodzić na uniwersytet...





Salomonowy wyrok.

Emerytowany mandaryn chiński *Pin-In-Si-Ki*, były namiestnik i zarządca okupowanej prowincyi mandżurskiej *Gao-Li-Cya*, bawiąc w jednej z chińskich miejscowości kąpielowych *Tra-Fik-O*, spotkał na deptaku u źródła następcę późniejszego swego, obecnego zarządcę z woli króla-słońca, mandaryna *Bim-Bo-Bri-Si-Ki*, który zjechał tu na kuracyę za urlopem, aby po ciężkich trudach sprawowania rządów w zajętej prowincyi, poddać się kuracyi odtłuszczenia.

Zaczęto gawędzić o swych dolegliwościach, o skutkach kuracyi, o skradzionej torbie, zawierającej ordery, a — jaką mandarynowi *Bim-Bo-Bri-Si-Ki* podczas jego odjazdu na dworcu kolei ucieszona ludność, sądząc, że nie wróci, na pamiątkę ukradła — następnie o wojnie, o kwestyi mandżursko-chińskiej — aż wreszcie przeszli na temat bliżej obu obchodzący — mianowicie na ciężkie zadanie mandaryna-namiestnika. *Pin-In-Si-Ki* utrzymywał, że będąc zamianowanym do *Gao-Li-Cyi*, zastał kraj zaniedbany, że długo pracować musiał i z początku setki głów pościnać, zanim zdołał doprowadzić go do stanu, w jakim teraz się znajduje, a w końcu dodał, że dobrocią i uczciwością zdołał sobie zjednać cały kraj i wszystkich jego mieszkańców.

— Tak mój panie — chwalił się *Pin-In-Si-Ki* — tak lubieć, jak mnie lubiano, nigdy pana nie będą! Płakali, jak bobry, gdym odchodził!...

— A jednak ja lepszym dla nich jestem, niż pan byłeś! Słyszałem ja coś o tem!...

— O, co to — to stanowczo nie! Mylisz się pan. Ja lepszym byłem. Na mnie panie nigdy jajami nie rzucano!

— Tak, bo wtedy, gdy pan byłeś, był właśnie w tej prowincyi pomór na kury i jaja były bardzo drogie... Ale poco to napróżno sprzeczać się? Spotkamy tu zapewne jakiegokolwiek z obywateli *Gao-Li-Cyi* i niech on spór rozstrzygnie. Dowiesz się pan wtedy, kogo lepiej lubiano!

Nie uszli sto kroków, gdy spostrzegli idącego powoli ku nim starego kupca, *Roj-Sen-Grau*. Bogobojny ten mąż, oddawszy dzieciom swoim handel, zatopił się cały w modlitwie tylko i słynął na całą *Gao-Li-Cyę* ze swej mądrości.

— Panie *Roj-Sen-Grau* — rzekł *Pin-In-Si-Ki* do kłaniającego się nizko *Roj-Sen-Graua* — przed chwilą właśnie posprzeczaliśmy się z kolegą, kto z nas dwóch był lepszym dla was. Umyśliliśmy zdać się na sąd pierwszego spotkanego mieszkańca *Gao-Li-Cyi* i dobrze, żeśmy ciebie spotkali, bo wiemy, że bezstronnie spór nasz rozstrzygniesz.

Roj-Sen-Grau zaczął się wymawiać, że przechodzi to granicę jego kompetencyi, że boi się, by go nie posądzono o stronniczość, o chęć przypodobania się i t. d. Gdy jednak mandarynowie ustąpić nie chcieli i kazali bądź co bądź zdanie swoje wypowiedzieć, rzekł:

— Bez urazy waszych wysokoszczy, trzebaby na to Salomona, by trafny sąd wydał — ja zaś mogę waszym wysokoszczom opowiedzieć, jakie zdarzenie miał mój ojciec. Razu jednego posprzeczały się u niego pod szopą sanie z bryczką. Sanie chwaliły się, że koniowi łatwiej je ciągnąć, że nie potrzeba smarowidła, a któż zaprzeczy, że każdy woli sannę, niż kołową drogę? Bryczka znów mówiła, że ona lepsza, bo choć ją trzeba smarować i trochę trzęsie, jednak jechać nią można zawsze. Od sprzeczki przyszło do kłótni.

Właśnie ojciec mój wypuścił starą swą kobyłę do wody. Umyślili tedy, że spór ich najlepiej kobyła rozstrzygnie i przywołali ją do siebie.

— Rozsądź nas — rzekła bryczka — gdyż od dwóch godzin sprzeczamy się. Sanie utrzymują, że one są lepsze odemnie, bo łatwiej je po śniegu ciągnąć, że nie trzeba ich smarować, ja zaś twierdzę, że ja lepszą od nich jestem, bo mną zawsze jeździć można, czy w lecie, czy w zimie, czy podczas pogody, czy w słotę.

Sąd twój sprawiedliwym będzie, bo znasz nas od lat kilku — tak jak i my ciebie znamy.

Stara klacz spojrzała na sanie, spojrzała na bryczkę, pokiwała głową i rzekła:

— I ty swołocz i ty swołocz!...



Wyszedł z morza po kąpieli —
Patrzy: co tam dynda w górze?
Części damskiej garderoby
Kołysają się na sznurze.

I za łeb się biedak złapał
I zawołał w duszy: „Gwałtu!“
Że to żony i teściowej
Są kawałki — poznał z kształtu.

I pobożnie westchnął tylko:
„Może“ Niebo cud uczyni,
By tak baba zadyndała
A jej córka obok przy niej!..



— To dziwne, że pani sama wzięła się dzisiaj do tego podlewania... Zwykle robiła to przecież pokojówka pani?...

— Tak, ale obecnie lekarz przepisał mi to, jako jedyny środek na moją blednicę...



— Może mógłbym panią prosić do mego stolika? Napijemy się wody sodowej...

— Mój panie! Pan się grubo pomylił, bo ja nie jestem z tych, co to można je na sodową wodę brać!...

— Tak? A na cóż panią w takim razie można brać?...



Z pani wielka amatorka
I mistrzyni w każdym calu! —
Chwalił facet pewną pannę,
Że tak dzielną jest w fotbalu!

O! tak, fotbal to gra boska! —
Odpowiada panna szczerze —
Przez to nogi się trenuje,
A to przyda się w karyerze!



— A cóż za podły hotel! Kazałem wczoraj aby zbudzono nas o 6-tej rano, a tymczasem zapomnieli widocznie i gotowi jesteśmy spóźnić się jeszcze na pociąg!...

— Nie gniewaj się, ale widzisz, to ja jestem winna. Powiedziałeś wczoraj, że czujesz się teraz nad ranem zwykle o dziesięć lat młodszym... zabroniłam więc, aby nam w tym czasie przypadkiem nie przerywano... snu...



Jakaż rozkosz niezrównana,
Jakżeż chwile słodko płyną,
Gdy się buja na huśtawce
Z ukochaną swą dziewczyną!

Spojrzę w oczy jej zamglone —
Dziwne jakieś czuję dreszcze,
Lecz, gdy w górę mknie spódniczka
To mnie bierze więcej jeszcze!



Pewną dzielną wioślareczkę
Zdala dwóch obserwowało —
Jeden mówi: „Ta dziewczyna
Puszcza się na wodzie śmiało!"

Drugi na odpowiada:
„Idę dalej niż ty w sądzie,
Ta sportsmenka, jak wiem o tem,
Lepiej puszcza się na lądzie!"



— No, złapałem i widziałem już setki różnych motyli, ale takiego motyla, to jak babcię kocham, jak żyję jeszcze nie miałem...



Ferdek Eleuteryk.

Alem ci sie najod strachu bez ten tydziń, kiedy Hallej groziuł nam swym ogonem! Trzonsem ci brachu portugaliami, niczym Hofrichter przed sondem, a takigo samygo jak i jo pietra mioł ci kużden z Krakowioków! Jeden ino derechtor od tyjatralnych ludowców pon Rygier, cieszuł sie, że bedzie już raz kuniec świata, bo majestrot, który dbo o śtuke polskom, kozoł mu płacić dziesińć procynt od biletów tyjatralnych i wpakowoł mu pod som krakoski ogród coś ze trzy kataryny, na które przedtym narzykoł pon radca Miedniok, że mu spać nie dajom. To tyż, jak pójdzież brachu do lodowatygo tyjatru do parku krakoskigo i zapłacisz cieńżkie hopy za wstemp, podczas najdrumatyczniejszyj chwili rzną ci kataryny „Małgorzatkę“, a kiedy panna Brzozosko abo jaka inna Cimajerka wywodzi swe słowicze tryle, kataryniorz z karuzeli grzmi znów „Rach ciach-ciach“, aż uszy puchnom!

Nimogemy sie jednak tym zajmować, bo to i tak nic nie pomoże, w majestrocie powiedzieli, że kataryniorzy nimogom wyrzucić na błonie, boby przeszkodzali słowikom, śpiwajoncym właśnie w tamtych krzokach. Zresztom dajonc pozwolinie, myśleli, że bedzie kuniec świata, to i kataryny tak długo nie bedom sie nam dawać we znaki. Poradziułem panu Rygierowi, który zato obiecoł zaangażować mojom Mańke na pirszom amantke, żeby gdzieś kole parku wynajon mieszkanie i odstompiuł go potym jakimu radcy miejskimu, to jak ten zacznie psioczyć, że mu katarynniorze od karuzelów przeszkodzajom, majestrot przependzi ich w innom strone...

Ale nima co godać o katarynach, skoro jezdeśmy obecnie żyjoncy i z kometów i astronomów sie śmiejoncy, bo sie gruntownie byli zbejajoncy. Najwiekszygo wrzasku narobił Flamarion, który był twierdzący, że ogon Halleja jest kwas pruski zawirajoncy. Moja Mańka, ponieważ jest morowo brzana, która się zno na różnych śtukach i umiejentnościach, śmiała sie ino w kułak, bo powiado, że jak żyje dwadzieścia i kilka roków na świecie, takigo ogona, któryby zawiroł kwas pruski ani dotond nie widziała, ani go tyż w rence nie miała, a ona w nic nie wierzy, póki tam palca nie wsadzi! I jo se tyż myślołem, że takigo ogona, coby mioł na długość aż trzydzieści milijonów kilogramów, chyba nima na świecie, ale wierzułem, że tak jest, skoro o tym pisze nawet Gazyta poniedziałkowo! Poknajołem wienc do obserwatoryjum na Wesołom i poprosiułem pedela, bo prefesura akurat nie było, żeby mi pozwoluł kuknąć bez teliskop na niebo.

— E! bracie! dołbyś sobie spokój! — powiado on na to — myślisz, że co wskórosz! My tu mamy takie śkła, co jeszcze Adam zaglądnoł przez nie Ewie do gardła i już wtedy nic nie widział, a ty chcesz teroz co zobaczyć?! Głupiś synu, a jo myślołem, żeś jako literata mondrzyjszy!

Nimogło mi się w głowie pomieścić, że to może być prowda, ale mi potym pedzioł Hakolongwa, że wysoki rzond nie chce dawać hopów, bo i teroz powinno wystarczyć tyle, ile dawała na ten cel Maryja Teresa. Pomyślołem sobie, że musi być w tym racyjo, gdyby bowiem było inaczyj, toby nasze posły i patryoty postarały się o to, żeby poprawić te stosunkowatość...! Poknajołem wienc ze zmartwinio do Siapsi na partyjnom konfencyje, gdzie mi Felek obwieściuł, że Siapsia, jako wielgi przyjaciel ludzkości, wynaloz nowy środek przeciw kumecie, tak zwanom „Antihallejówkę“, mocnijszom a tańszom, jak silna z mocnom. Każdy z konsumentów, który kupi całom butelke, bedzie mioł prawo oglondać kumete całkiem gratis, a potym bedzie mógł do pustyj flachy nałapać powietrza, ile sie ino śmieści.

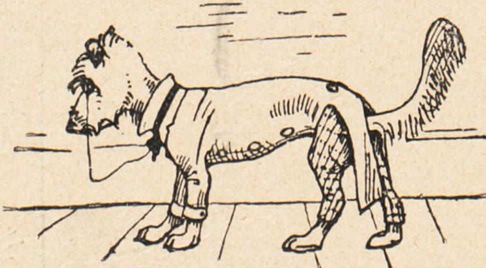
Choć należe do Leuteryi, zaopatrzułem sie w jeden taki egzemplorz i w krytycznom noc poknajołem z Mańkom na Błonia, bo stamtond podobno najlepij było widać kumeci ogon. Mańka zgubiła mi się zaraz kole tych krzoków świrkowych przy parku Jordana, a jo ulokowałem sie kole boiska sokolskigo, gdzie sie w lipcu bedzie urzondzać imieniny Grunwalda, który kupiuł hotel Centralny. Bez renkow od marynarki oglondołem niebo, ale nie widziołem nic ino plame, ale bez nijakigo ogona. Z Ferdkiem i Makolongwom, z którémi byłem sie spotykajoncy, wypróżnili my flache i czekali my na ogon. Ale minęła czworto rano, pionta, szósta, siódma — ogona ani widać, abo był za krótki i nie dostoł się do ziemi, abo sie skrzywiuł i ominoł Wielgi Kraków.

Po ósmy wróciułem do chałupy i tu zastołem już Mańke, która mnie zbeształa, że o mały fiigiel nie zachatrzyły jej sułany pod Teligrof, ponieważ była bez męskigo towarzystwa, ale im wytłómaczyła, że ona jest akademiczka i chce na własne oczy widzieć Hallejowy ogon. A wszystkimu byłem jo winien, żem jom zgubiuł z oczów!... Żeby brzany bardzij nie drżnić, przyznałem jij racyjom i położułem sie spać, bo mi ta Antihallejówka Siapsi troche makówe zamroczyła.

Kole południa, gdym otworzył oczy, dowiedziołem sie od Mańki, która już z miasta wróciła, że Lyo dostoł od cysarza order za Wielgi Kraków.., Zerwołem sie na równe nogi, bom se zaroz pomyśloł, że ta kumeta właśnie zwiastowała to zdarzynie... Bedzie wienc frajda w narodzie, bo pewnikiem zrobi sie i fakelzug, a bendzie tyż i gratisowo wyżyra w starym tyjatrze, bo bez tygo nima w Krakowie nijakij uroczystości!

Tymczasem radowaliśmy naszygo ducha ajeroplanem, na którym jakiś Hieronimus lotoł po placu wyścigowym. Nie widziołem nigdy taki parady, to tyż znowu razem z Mańkom powandrowaliśmy na Błonia, na te najdroższe mijsca, za które się nic nie płaci, ino sie patrzy za bezdurno. Takich amatorów jak jo, było wiencyj, cały Kaźmirz wylegnoł na Błonia takom masom, że choćbyś płaciuł po koronie od głowy, nie uświadczułbyś w południowych okolicach Wielgigo Krakowa ani jednygo gudłaja... Rozumi sie, że i oni nie płacili ani grajcara, wienc Błonia aż się roiły od narodu. Hieronimus tym razem spisoł sie galanto, siodł na Bleriota, dmuchnoł i polecioł do góry, aż przestaszone wrony z wrzaskiem zaczeny uciekać we wszyćkich kieronkach. Najbardziej cieszyli się przedsiebiorcy, urzondzajoncy wzlot, bo musieli dopłacić z własnyj kieszeni do całygo jenteresu. Podobno Rada mijsko ma zakupić dla akcyzy kilka takich Bleryjotów, czy waryjotów, bo nie wiem, jak sie to nazywo właściwie, aby akcyźniki mogli objiźdżać granice Wielgigo Krakowa i kontrolować, żeby kto nie przemyciuł kontrabandy. Spodziwom sie, że i jo urzondze sobie kiedyś taki wzlot, bo jak powszechnie wiadomo, kandyduje teroz do rozszyrzonyj Rady mijskij, a jako radziec bede mioł pirszyństwo w używaniu mijskigo waryjota!

Górom wienc Wielgi Kraków! Mamy już artyleryjom Tallarda, wnet bedom torpedowce akcyzowe na Wiśle, a jak jeszcze dostaniemy miejskigo waryjota, Lwów zapendzi sie w kozi róg — i kuniec!





NA FOLWARKU.

Stary Marcin w ciężkiej pracy,
Musiał dobrze nagiąć karku,
Dość się musiał nacharować,
Nim dorobił się folwarku.

I ze żoną swą uradził,
Że gdy stać ich Bogu dzięki,
Żona — weźmie sobie dziewkę
Mąż parobka do wyręki.

Uradzili i zrobili...
W gospodarstwie zaszła zmiana.
Odtąd dziewka jest u pani,
A parobek jest u pana.

I szło lepiej gospodarstwo
I dobytek wzrastał sporo,
Bo do pracy koło gruntu,
Było przecie rąk ośmioro!

I musieli dobry wybór
Przyznać sobie gospodarstwo —
Takiej dziewki i parobka
Nie znalazłby na lekarstwo!

Jednę tylko troskę mieli —
Znając służby swej naturę,
Bali się, by niespodzianie
Nie odeszło od nich które.

Bo nie mogliby się obyć
Chociaż prosty chłop i chłopka —
Gospodyni bez swej dziewki,
A gospodarz bez parobka.

Lecz dziś nie ma już obawy
Tak dla niego, jak i dla niej,
Odkąd dziewka jest u pana
A parobek jest u pani.



Ma racyę.

— To skandal wprost! — żali się przed przyjacielem pan X. Wyobraź sobie, że w cztery tygodnie po ślubie, zastaję moją żonę w objęciach tego smarkacza Adolfa! A ja byłem pewny, że żenię się z niedoświadczonem dzieckiem!...

— No, i nie pomyliłeś się wcale!

— Jakto?...

— Bo gdyby twoja żona miała już trochę do świadczenia, toby ci się nigdy nie była dała przyłapać na zdradzie!....

Przemyślna.

— No i nie obawiasz się, moja droga, aby cię kiedy wyłapał mąż na gorącym uczynku?

— O to się nie boję! Już postarałam się, aby mieć zapewniony spokój!

— A to w jaki sposób, jeśli naturalnie wolno wiedzieć?

— W bardzo prosty! Postarałam się, aby mój mąż dowiedział się prywatnie, że jestem zakochana w Adolfie, a to mi ani w głowie! Ponieważ jest on bardzo zazdrosny, ma ciągle Adolfa na oku! Adolfowi zaś zwróciłam uwagę, że mąż mój podkochuje się w jego żonie, więc on znów śledzi męża i tak obaj pilnują się wzajemnie, a ja mam spokój!

Rezygnacya.

(Obrazek z życia codziennego).

Sala balowa wrzała pełnem życiem. Duszna atmosfera przesyconą była wonią szampana, podłogę pokrywała gruba warstwa confetti, między którymi tu i ówdzie spotkałeś zdeptaną różę... Pierwsze smugi porannego brzasku przedzierały się przez gęste zasłony i zlewały w jedno z migotliwym blaskiem elektryki...

Po schodach chwiejnym krokiem postępowała młoda dziewczyna w kostyumie pierrota. Na bladej twarzy widoczne zmarszczki koło ust i oka, zapewne musi mieć jakie zmartwienie...

Znalazłszy się na ulicy przebiegła w myśli dzieje ostatnich miesięcy aż do dnia dzisiejszego.

Nagle wstrząsnął nią dreszcz mimowolny na samo wspomnienie o nim, którego dotąd w innem zupełnie świetle sobie przedstawiała. Na jego natarczywe żądania, zdecydowała się pójść na redutę, wykradła się potajemnie z domu, wszakże jej przysiągł, że przed dwunastą ją odprowadzi!

Po raz pierwszy znalazła się w wirze szalonego życia tuż obok niego! Tak go dotąd kochała, w tak idealnych przedstawiała go sobie kolorach! Kochała w nim szacunek i cześć, jaką miał dla jej niewinności!

A dziś przekonała się, że to tylko był fałsz i obłuda, że on taki sam jak i drudzy. Poznała, że ten kielich perlącego się szampana, jaki jej ofiarował, był tylko jednym więcej krokiem do celu, którego jednak nie osiągnął...

Teraz już po wszystkiem! Kieliszek rozbiła na jego głowie i idzie do domu... Do domu?... Uśmiecha się gorzko na samo wspomnienie. Tam ją zapytają, gdzie była, ona wszystko opowie, nikt jej jednak nie uwierzy! Wyśmieją ją, sponiewierają, splugawią jej najświętsze uczucia, a może nawet nie pożałują i kija... I pocóż się na to wszystko narażać?...

Chwila wahania, po niej następuje rezygnacya i młoda dziewczyna kieruje swe kroki w stronę jego mieszkania...



Dobra szkoła.

— I cóż słychać z pańską żoną? Już bardzo dawno jej nie widziałem!

— Będzie temu ze trzy miesiące jak uciekła gdzieś szelma z piętnastym z rzędu kochankiem...

— Nie może być?!... To pan musi być bardzo na nią oburzony?

— Ależ gdzież tam! Owszem! Jej zawdzięczam całe swe wykształcenie!

— Nie rozumiem tego!

— Taż to takie proste! Dzięki trzyletniemu z nią pożyciu, nabrałem takiej wprawy w śledzeniu za wiarołomstwem małżeńskiem, iż teraz jestem jednym z najbardziej poszukiwanych detektywów prywatnych w tym kierunku!

Naiwna.

— E... cobym ja tam robiła w pokoju u takigo aliganckigo pana! — tłomaczy Kasia paniczowi, zasłaniając sobie oczy fartuchem. — Przecie jo jestem dziwka od krów!

— Chodź tylko Kasiu! Przekonasz się, że się dla ciebie znajdzie u mnie jakieś zajęcie! — odpowiada na to panicz, a oczy aż się śmieją na widok zdrowej i życiem tryskającej dziewuchy...

— Przecie dobić panica nie bendę!..





KRZYWDZONA SŁUŻĄCA.

— „Nie czyń nigdy sługom krzywdy! —
Mówi mama, mówi tato,
Oni są bliźnimi twymi,
Chociaż służą za zapłatą!“

— Ech! odpowie mały Kazio,
Na moralną taką mówkę —
A dlaczegóż to wujaszek
Krzywdzi naszą pokojówkę?!

— Co ty pleciesz! — mówi mama
Pomieszana tem nie mało,
Że wujaszek... Ach! mój Kaziu,
To ci tylko się zdawało!

— Tak!—rzekł chłopczyk—tak! na schodach!
Ja opowiem to mamusi!
On jej na złość świecę gasi,
Potem szczypie ją i dusi!...

O! już lepszy jest mój tatko!
Gdy ją dziś uszczypnął zrana,
To ją zaraz pocałował,
Nawet wziął ją na kolana!..

⊙ ⊙

Dyalog małżeński.

— Moja kochana! Nie dlatego ożeniłem się z tobą, żebyś kokietowała innych mężczyzn!

— E... dałbyś spokój! Ty jesteś zazdrosny nawet o stangreta!...

— Tak... bo go znam dobrze!

Dziesięcioro przykazań dla przyjaciela domu.

1. Jam jest twoją boginią, jak długo mi się nie sprzykrzysz. Nie będziesz miał innych przyjaciółek obok mnie, gdyż jestem strasznie zazdrosną i nie znoszę w tym wypadku konkurencyi.

2. Nie będziesz się afiszował mną przed światem, ani wspominał moje imię wobec swych przyjaciół.

3. W dni, przeznaczone z góry na spoczynek, nie podejmiesz żadnej pracy.

4. Czcij ojca mego, matkę, ciotkę i męża, abyś długo żył i dobrze ci się u nas powodziło.

5. Nie zabij mi przypadkiem męża w pojedynku, skoro już biedak i tak z twej łaski nosi rogi...

6. Nie będziesz popełniał wiarołomstwa, gdy mąż mój wyszedł tylko do klubu, łatwo bardzo mogłoby się bowiem zdarzyć, że mógłby nas złapać na gorącym uczynku.

7. Nie kradnij całusów mojej pokojówce.

8. Bilety i listy, jakie masz odemnie, powinieneś zaraz spalić, kiedyś mogłyby one bowiem stanowić fałszywe świadectwo o naszym wzajemnym stosunku.

9. Nie flirtuj z memi przyjaciółkami.

10. Teściowej mej nie nazywaj pudłem, męża mego starym niedołęgą, pokojówki popychadłem, a stróża, który ci bramę otwiera, osłem, owszem obojgu ostatnim dawaj hojne napiwki, a w ten sposób zjednasz sobie ich życzliwość, która kiedyś może ci się na coś przydać!

Odetchnęli.

— Skarbie najdroższy, teraz możesz być spokojnym! Mój mąż przystąpił właśnie wczoraj do ligi przeciwpojedynkowej!...

Między baletnicami.

— Co? obiecał ci hrabia kupić konika i wózek? Uważaj, moja droga, aby to nie był przypadkiem wózek do wożenia... dzieci.

Roosevelt w podróży.

(Program na czerwiec).

Zwiedzanie Nowej Zemli. W dniu tym odbędzie się położenie kamienia węgielnego pod szpital dla cierpiących na gruźlicę psów morskich. Roosevelt wygłasza uroczystą przemowę.

2. Herbatka familijna u ex-królowej Madagaskaru, w czasie której zajmująca dyskusya o znakomitym plastrze na nagniotki. Roosevelt zostaje członkiem honorowym Towarzystwa dobroczynności na Madagaskarze.

3. Uroczystość siedmdziesięciopięcioletniej rocznicy urodzin ostatniego ludożercy na Nowej Zelandyi. Roosevelt radzi mu, aby ze względów zdrowotnych został wegetaryaninem, zato otrzymuje tytuł udzielnego księcia.

4. Wyścigi gondoli w Wenecyi. Roosevelt wygłasza mowę o niebezpieczeństwie zapalenia ślepej kiszki. Deputacya dam weneckich wręcza mu honorowe szwymhozy.

5. Zwiedzenie osobliwości Belgradu (odwiedziny u króla, koszary trenu, okno, przez które wyrzucono ciała Aleksandra i Dragi, dyskretny pawilonik za pałacem). Roosevelt wzywa Serbów, aby w myśl narodowych tradycyi objęli zwierzchnictwo nad Bałkanem. Popołudniu, o ile czas i pogoda dopisze, partya piłki nożnej z żydowskim klubem Makkabi I na krakowskich Błoniach.

6. Próba wina w Lizbonie. Roosevelt zostaje członkiem honorowym Towarzystwa gospodnio-szynkarskiego.

7. Ogólny kongres Eleuteryi w Jerozolimie. Wyścigi osłów w dolinie Cedronu.

8. Zwiedzenie osobliwości Sofii. Roosevelt radzi Bułgarom, aby w myśl narodowych tradycyi objęli zwierzchnictwo nad Bałkanem.

9. Otwarcie wystawy kucharskiej w Brukselli. Wykład o amerykańskim pasztecie i jego tryumfalnym pochodzie przez kraje cywilizowane.

10. Kongres wegetaryański na ruinach Sparty, połączony z premiowaniem głodomorów. Nauczyciel ludowy z Galicyi otrzymuje pierwszą nagrodę. Roosevelt radzi Grekom, aby w myśl narodowych tradycyi objęli zwierzchnictwo nad Bałkanem.

11. Otwarcie zjazdu hodowców kanarków herczyńskich na Teneryffie. Wykład o wpływie śpiewu ptaków na usposobienie człowieka.

12. Familijna herbatka w Yldiż kiosku. Roosevelt zostaje honorowym eunuchem. Przy tej sposobności wzywa Turków, aby w myśl narodowych tradycyi objęli zwierzchnictwo nad Bałkanem.

13. Five-of-lock u Berty Suttner we Wiedniu, Roosevelt rozdziela nagrody pokojowe pomiędzy dziewięćdziesięcioletnich starców, którzy nikogo nie zabili i dotąd jeszcze żyją.

14. Odwiedziny u Kruppa w Essen połączone z demonstracyami najnowszych bomb i granatów. Roosevelt wygłasza odczyt o wynalezieniu prochu i jego cywilizacyjnem znaczeniu.

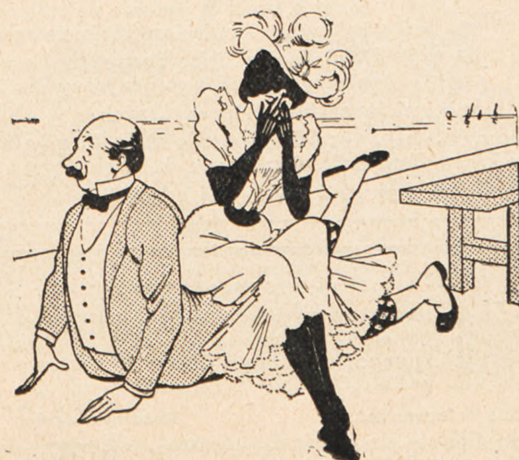
15. Poświęcenie nowego dachu na świątyni w Mekce. Wykład o posłannictwie islamu i konieczności założenia łaźni parowej. Roosevelt zostaje szeikiem *in partibus infidelium* i jako dar honorowy otrzymuje trzygarbnego wielbłąda.

Aforyzm.

— Mało jest już kobiet, co umierają z miłości, ale wiele jest takich, które tylko z niej żyją...

Skarga oficera.

Trzy są świństwa, które dają się we znaki kawalerzyście. Wielki brzuch, długi i wilk w kroku... A ja psiakrew, jakby na złość mam i jedno i drugie i trzecie!...





SKRUPULATNY OBSERWATOR.

— Strach, jak służba nasza kradnie!
Wczoraj — ginie mi sznurówka,
Dzisiaj nie mam znów — podwiązek!
Pewnie wzięła pokojówka!

— Jakież to podwiązki były? —
Pyta mąż zgniewanej damy.
— No... czerwone, atłasowe,
Na obydwóch monogramy!

Wiem, że podła ta dziewczyna
Ma z kradzieżą ową związek!..
Na to mąż rzekł z stanowczością:
„Ona nie ma twych podwiązek!“

Twoje były te czerwone,
Które nosisz już od roku
No, a ona ma na gumkach,
Zapinane modnie z boku!

Co się zaś sznurówki tyczy,
Wiem!.. ta stara, wygnieciona!...
To bezczelność! Co ty powiesz?
Twą sznurówkę nosi bona!!

⊝⊝

W XX. stuleciu.

Panna Piperment, doktorka wszech nauk lekarskich spaceruje po pokoju w szlafroczku około godziny jedenastej wieczorem. Wtem ktoś dzwoni do bramy.

— Kto tam?

— Proszę pani doktorki to ja! Przyszedłem prosić aby pani zechciała się pofatygować do mnie, ale zaraz, gdyż mi dziecko nagle zasłabło!

— Dobrze proszę pana! — odpowiada zafrasowana — ale proszę się pofatygować najpierw do mnie na górę! Musi mi pan pomódz ubrać się, bo wszystkie staniki moje zapinają się od tyłu a właśnie pokojówka wyszła do miasta!...

Zemsta.

— No! Ale dałem się we znaki memu konkurentowi!

— Cóż takiego mu zrobiłeś?

— Wszedłem z nim w spółkę!

Moje przygody myśliwskie w Afryce.

(własnoręczny odczyt Roosevelta, którego nie miał czasu wygłosić na wystawie łowieckiej).

...W miejscu, gdzie rzeka Zambesi tworzy owych wspaniałych sześć wodoprądów, z których najpiękniejszy jest siódmy, znajduje się właściwy teren myśliwski do polowania na nosorożce. Tutaj żyją one pojedynczo lub parami i żywią się, jak się z zoologii Brehma dowiedziałem, roślinami. Od czasu do czasu rzucają się jednak i na ludzi, jak to miałem sposobność skonstatować na samym sobie. Jeden z rozjuszonych samców rzucił się na mnie i ugryzł mnie w pośladek tak nieszczęśliwie, że do dnia dzisiejszego mam jeszcze znaki, które mogę każdemu na żądanie okazać.

W to właśnie miejsce postanowiłem się udać, nie w to, w które mnie ugryzł nosorożec, ale w to, gdzie ich jest najwięcej. Po całodziennym marszu, który trwał niespełna kwadrans, ja i moja karawana, składająca się z dwudziestu jeszcze wielbłądów, znaleźliśmy się nad rzeką. Jakby na zawołanie ukazał się potężny nosorożec. Już złożyłem się i byłbym go na pewne zabił, gdybym go był trafił, gdy wtem poczułem na swem ramieniu czarną rękę, która mnie zapytała: A waffenpas pan ma? — Naturalnie, że mam! — odparłem, pokazało się jednak, że właśnie zapomniałem go wziąć ze sobą, podobnie jak ekscellencya Bobrzyński owej torby z orderami. Zaprowadzono mnie więc do odległej o tysiąc kilometrów wioski, gdzie wójt miejscowy w poruczonym zakresie działania skazał mnie na pięć dolarów grzywny, zamienionej w razie nieściągalności na trzydzieści bambusów. Wolałem zapłacić i wróciłem natychmiast na stanowisko, nosorożec jednak na mnie nie czekał...

Daleko gorzej wyszedłem na polowaniu na krokodyle, które jak wiadomo pod twardą skórą posiadają bardzo czułe serce. Sztuciec zostawiłem w domu, wziąłem natomiast ze sobą tom poezyi jednego z młodych autorów i gruby sznur. Gdy spostrzegłem wylegującego się na nadbrzeżnym piasku potężnego krokodyla, zacząłem mu czytać poezye, pewny, że zacznie płakać, a ja wtedy zarzucę mu pętlicę na szyję i żywcem odprowadzę go do Ameryki. Stało się inaczej! Właśnie zajęty byłem odczytywaniem najpiękniejszego miejsca, gdy wtem krokodyl otworzył niespodzianie paszczę i połknął mnie wraz z poezyami i sznurem...

Gdym się znajdował już w jego żołądku, usłyszałem głos chłopca murzyńskiego, który obok łapał śledzie:

— Panie! I nie szkoda było pańskiego trudu! Ten krokodyl jest głuchoniemy... Znają go wszyscy, począwszy od Chartumu do Omdarmanu...

No, ale trzeba mieć taki pech, jaki ja mam zawsze!



Konsularna opieka.

Austryacki poddany w czasie swej podróży po Małej Azyi został ciężko skrzywdzony przez miejscową władzę, udał się wiec natychmiast do swego konsula z prośbą o pomoc. Ten przyjął go bardzo serdecznie a wysłuchawszy z uwagą, pokiwał znacząco głową i rzekł!

— Tak! Tak! Wypadek jest nader poważny ale co ja panu mogę na to poradzić. Należałoby się właściwie zwrócić do wielkiego wezyra a ten wysłałby natychmiast statek wojenny, aby ukarać winowajców, ale uważa pan dobrodziej, w Konstantynopolu jest tylko jeden jedyny krążownik i do tego zepsuty... Ale, jeśliby pan chciał koniecznie satysfakcyi, mógłbym mu dać dobrą radę, taką samą, jak w zeszłym roku jednemu z naszych poddanych, którego także ciężko skrzywdzono...

— Proszę bardzo!

— W takim razie przyjmij pan poddaństwo niemieckie, ale natychmiast i oddaj się pod opiekę, niemieckiego konsula, a on napewne zajmie się twym losem!

Na Rynku.

— Wiele chcesz za tego jamnika?

— Dziesięć koron, dobrodzieju!

— Co? dziesięć koron...? Wszak słyszałem do piero przed chwilą, jak ofiarowałeś go tamtemu panu za pięć...

— Tak... ale tamten pan nie wiedział, że to jamnik!

Nie dała się przekonać.

Pani Maciejowa udała się do przyjaciółki na poobiednią pogawędkę, za chwilę wpada za nią sąsiadka, wołając!

— Pani Maciejowa! Chodź pani do domu, bo zaczął się dach palić nad domem!

Ale pani Maciejowa nie myśli przerywać sobie. Za chwilę nadbiega druga sąsiadka:

— Bój się pani Boga! Chodź pani prędzej! Już zapadł się dach na domu.

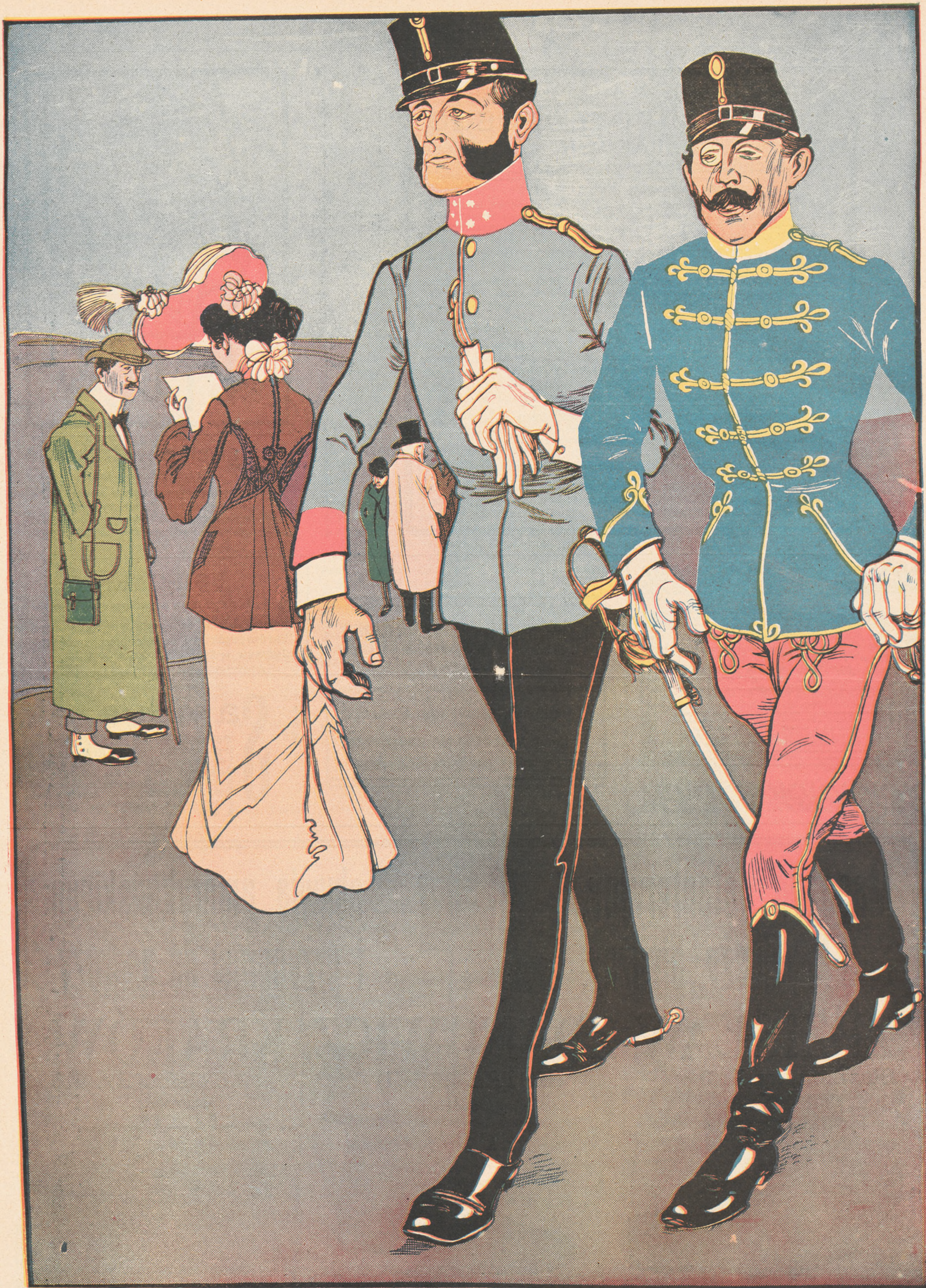
— Dałaby mi pani spokój — odpowiada na to Maciejowa z irytacyą — Jak może się palić u mnie w domu, kiedy ja mam klucz w kieszeni.

Mała zmiana.

— Tak mój zięciu! Córkę oddam ci zaraz, obiecawny posag dostaniesz jednak dopiero po mej śmierci...

— Hm... a czy nie dałoby się to zrobić odwrotnie?...

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za redakcyę odpowiedzialny: Stefan Karczmarski. Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.



— To jest właśnie — uważasz kolega — ta dama, u której złapał naszego rotmistrza jej mąż...
— No i jakże — wyszedł rotmistrz cało?
— Tak, tak — tylko bez butów....